Nr. 4. We Lwowie dnia 22. stycznia 1894. Rok II.

TYDZIEŃ

Dodatek literacki „Kurjera Lwowskiego"

pod kierownictwem Bolesława Wysłoucha.

LUDZIE I WYPADKI Z 1863—1865 ROKU.

Obrazki z powstania, zebrał i ułożył pułkownik Struś. — Lwów. — Nakładem Gubrynowicza i Schmidta. — 1894.

I.

Długo wyklęte, przeklęte nawet jak szeroka Polska nasza, obrzucone błotem i obelgami, powstanie 1863 r. zdobyło sobie przecie miejsce w dziejach odrodzenia naszego narówni z powstaniem Kościuszkowskiem, z epopeą legjonów i Księstwa Warszawskiego, z rewolucją listopadową. Coraz rzadziej odzywają się we wszystkich »lojalnych« obozach potępiania »szalonego« czynu, i przechodzą w nieśmiałe ubolewania, a większość narodu stanowczo już wyrzekła, żeśmy się bili, bośmy się bić byli powinni, bo tak działali ojcowie i dziadowie nasi, tak muszą działać nasi synowie i wnukowie. Wszelkie przeto opisy walk i klęsk ówczesnych doznają w naszem społeczeństwie najsympatyczniejszego przyjęcia, od każdego nowego dzieła o powstaniu oczekujemy nowej aureoli dla przeszłości, nowych nauk i wskazówek dla dorastających pokoleń, nowych zachęt i przestróg dla wszystkich. Takie nawet dzieła, jak »Historja dwóch lat«, napisana w widocznie antinarodowym kierunku, czytają się z zajęciem i służą ku ogólnemu pożytkowi, bo nie zważamy na potępianie przez autora naszych porywów i usiłowań, a szukamy w jego barwnych obrazach pokrzepienia ducha pamięcią o ruchu, o czynach i przykładów walk i męczeństw do naśladowania — szukamy jednem słowem dowodów, że żyliśmy i żyjemy, że nie byliśmy i nie jesteśmy poddanem bydłem, a wolnymi, chociaż chwilowo spętanymi obywatelami. Tem bardziej żądamy od tych, którzy sami brali udział w styczniowem powstaniu, szli z garstką walecznych na krociowe wojska i przelewali krew swoją za Ojczyznę, ażeby ich wspomnienia były dla nas przestrogą i nauką, duchowym orężem w naszem nieustającem pasowaniu się ze wściekłym, ale bezsilnym wobec naszej niezłomności nieprzyjacielem, żądamy od nich prawdy i szczerości, wiary, miłości i nadziei.

Pułkownik Struś jest już zaszczytnie znany na polu piśmiennictwa powstańczego i w swoich z talentem skreślonych, acz zbyt może luźnych obrazkach, odtworzył nam nie jedną wiekopomną chwilę, nie jednego zasłużonego wojownika za wolność i ojczyste prawo — za ludzkość całą, obrażoną w jednej ze swoich cząstek, w męczenniczej Polsce, przez odwiecznego swojego wroga, barbarzyński despotyzm. Sam autor w przedmowie do teraźniejszego dzieła zachęca nas do wytrwania i do walki, woła nam, że »są położenia, w których dziecko, aby się matki nie zaprzeć, by pamięci jej cześć oddać, musi niekiedy (?) szczęście i przyszłość swą poświęcić«. Sądzimy przeto, że nie weźmie nam za złe wytknięcia niektórych usterek w jego pracy, bo chcielibyśmy widzieć w niej przewodnią pochodnię dla całych pokoleń i zasadnicze źródło dla wszystkich badaczy naszej niedawnej przeszłości.

Tak się zapatrując na szacowny zbiór pułkownika Strusia, skromnie przez niego nazwany »Obrazkami«, musimy nasamprzód powiedzieć, że nas nie zadawalnia jego »Ogólny pogląd na powstanie«. Prawda, że wolno każdemu wybrać sobie stanowisko, opinję i punkt zapatrywania, ale autor, a osobliwie uczestnik opisywanych wypadków, powinien się przedewszystkiem starać, by główne momenty były odwzorowane jak najprawdziwiej, a zgodnie z wyznawanemi przez niego zasadami. Szanowny pułkownik daje nam pogląd na powstanie, który nie zupełnie odpowiada tym warunkom. Pogląd taki, dawno znany, może się streścić następującym sposobem Naród polski, po śmierci Mikołaja, rwał się do wolności i do ruchu; rząd moskiewski ustępował z początku, potem zaczął gnębić: Wielopolski przymusił branką do powstania, którego Moskale nie chcieli stłumić w zarodku; zachęceni sympatją całego świata i obietnicą interwencji, biali, przyłączyli się do ruchu, wprowadzili ład i porządek, a kiedy rządy europejskie nie mogły się zdobyć na poparcie, powstanie, po bohaterskich wysiłkach, upadło.

Otóż taki pogląd, choć dawno przyjęty, oklepany nawet, wcale się nie zgadza z istotą rzeczy. Wiele ważnych czynników przemilczano, inne

zupełnie przekręcono (choć nie tyle co w innych dziełach), a z głównych przyczyn niepowodzenia, o które nam najwięcej idzie, prawie ani jednej nie wyjaśniono, jak należy. Na wstępie autor, który widocznie nie należał przed powstaniem do organizacji, zupełnie błędnie sobie tłumaczy ówczesne położenie rzeczy, a niektóre jego twierdzenia rażą wprost swoją sprzecznością z wypowiedzianemi przez niego, a wyżej cytowanemi zasadami. »Dwuletni okres manifestacji, denerwujący w najwyższym stopniu organizm społeczny, powinien był zwrócić uwagę osób wpływowych«, że trzeba zapobiedz katastrofie. »Niestety, Ojczyzna nasza nie posiadała takich ludzi, którzyby mogli krwawą burzę uprzedzić, zażegnać, odwrócić«.

Dziwne zaiste zdanie dla powstańczego pułkownika!

Wychodzi dalej z toku całego opowiadania, że organizacja była przymuszoną do powstania przez brankę, że »Komitet Centralny chciał.. rozwiązać organizację... manifestem, z podpisami członków, którzy sami się chcieli oddać w ręce rządu moskiewskiego, by kraj uwolnić od odpowiedzialności«. (?!) Z tego wynikałoby, że o powstaniu nikt w organizacji nie myślał, nawet główni kierownicy, że wybuch był skutkiem rozpaczy nowobrańców i zbrodni margrabiego. Więc dla czego organizowano się?... Szanowny autor powinien wiedzieć, że organizacja powstała jedynie w celu przygotowania zbrojnego powstania, czego dowodem są wszystkie instrukcje, przedrukowane we właściwym czasie (wrzesień 1862) przez Wielopolskiego w »Dzienniku powszechnym«; że każdy członek obowiązany był sam się starać o broń i że niewypełnienie tego obowiązku było pierwszą przyczyną niepowodzenia. Wielopolski przymusił jedynie do powstania w styczniu, a ruch miał nieodwołalnie zacząć się na wiosnę. Drugą przyczyną, o której autor milczy także zupełnie, było niepłacenie podatku narodowego przez bogatszych, których pieniądze dopiero się wtedy posypały, kiedy było za późno i to jedynie pod wpływem dokonanego faktu, i pod naciskiem zbrojnych oddziałów. Jestto zupełne powtórzenie postępowania szlachty za czasów Sejmu czteroletniego, a skutkiem takiego braku obywatelskiego poczucia był w 1863 jak w 1792, brak wojska i broni, potem ostateczna klęska. Dodamy, (o czem także autor milczy zupełnie), że kiedy Komitet Centralny, wiedząc z pewnością, że branka wywoła powstanie zimowe, że uchwalona przez niego dyslokacja zapobiedz mu nie zdoła, z powodu parcia Komitetu Mierosławskiego — zdobył się z wielką biedą na pierwszy zakup broni, rząd francuski udaremnił wszystkie przygotowania aresztowaniem Godlewskiego i ostrzeżeniem Moskali. Pomimo tych wszystkich przeszkód, powstanie wybuchło tak niespodzianie i tak jednomyślnie, że Moskale, zaskoczeni znienacka, a zresztą umyślnie rozproszeni przez rząd po kraju dla lepszego stłumienia miejscowych ruchów, znaleźli się w największym kłopocie i mogli być łatwo w wielu miejscach zgnieceni, przy energiczniejszem i umiejętniejszem działaniu. O tem się autor łatwo przekona z opisu Berga (»Polskije zagowory i wozstanija«), którym się tak często posiłkuje. Tymczasem pułkownik Struś chce nam wmówić, że »można było bardzo łatwo zgnieść powstanie, ale Moskale nie spieszyli z wystąpieniem przeciw niemu, raz dla tego, że żartowali z zuchwałego porywu, a powtóre, że walka podobna dawała im możność łatwego i prędkiego obłowienia się wszystkim« (!) Byłby to chyba pierwszy przykład w historji, ażeby rząd dał się wzmocnić powstaniu i naraził się na półtoraroczną walkę wewnętrzną i możliwy najazd z zewnątrz, aby się łatwiej obłowić. Zresztą, oprócz niestrategicznego rozdzielenia sił i niewyrobienia młodego moskiewskiego żołnierza, była jeszcze inna przyczyna nieczynności, której u Berga, rozumie się, niema, lecz o której autor, sam były moskiewski oficer, wie przecież doskonale: nieufanie władzy własnym wojskom, ciągle spiskującym i sprzyjającym po części Polakom; o tem sprzyjaniu, w początkach powstania, mnóstwo świadków może po dziś dzień najrozmaitsze opowiadać szczegóły, nie mówiąc już o ciągłej dezercji z wojska do oddziałów. Nie możemy się zatem zgodzić z całym poglądem pułkownika Strusia, ani co do przyczyn, ani co do początku powstania styczniowego i dziwi nas przeinaczanie faktów, które autorowi doskonale powinny być znane.

Bronisław Szwarce.

Młoda Polska i Stowarzyszenie ludu polskiego

przez

Bolesława Limanowskiego.

(Ciąg dalszy.)

W jesieni 1835 r. przybył Seweryn Goszczyński i skłonił dawnych węglarzy do utworzenia galicyjskiej organizacji Stowarzyszenia Ludu Polskiego. Zawiązał się więc zbór we Lwowie i potworzyły się zbory czyli rady obwodowe. Każda rada obwodowa przez swego sekretarza utrzymywała stosunki z sołtysami, czyli organizatorami — podług Ustawy »Młodej Polski«. Sołtysi przyjmowali członków do związku, a wszyscy członkowie, znoszący się z jednym sołtysem, stanowili sołtysowstwo. Rada najwyższa, w celu sprowadzania

książek zakazanych z zagranicy, weszła w porozumienie z księgarzami, a dla upowszechniania tych książek pozawiązywały się osobno składkowe towarzystwa książkowe. Szczególnie czynnymi były dwa zbory: tarnowski i lwowski. Ponieważ zjednano licznych członków pomiędzy młodzieżą uniwersytecką, w seminarjum i w wojsku, więc się utworzyły we Lwowie trzy sołtysostwa czyli komitety: akademicki, seminarzycki i wojskowy. Sołtysem w seminarjum był Andrzej Józefczyk. W wojsku organizacja przybrała odmienną, okolicznościom i potrzebie odpowiednią postać. Kobiety zorganizowały »Towarzystwo sióstr«. »Panienki najmoralniejsze — opowiada Józefczyk — mężatki uczciwe nie wahały się przychodzić na zgromadzenia do mieszkań naszych i w czytaniu, w rozmowie rozbudzać i utrzymywać ducha patrjotycznego«. »Albin Dunajewski, Eugeni Chrząstowski, Ferdynand Rungie, Juljan Mańkowski, Leander Pawlikowski, ja — mówi dalej Józefczyk — przychodziliśmy na te posiedzenia, i dziewczęta te jak siostry uważając, z niemi jak z siostrami się rozmawiało, mając na celu tylko jedną wielką myśl. To robi zapał! Chociaż dziś takich zgromadzeń — pisze to Józefczyk w krakowskim stańczykowskim »Przeglądzie Polskim — wcale nie pochwalam, bo cel nie powinien uświęcać środków, wszelako tak było i te panienki najzacniejszemi były mężatkami, o ile później o której dowiedzieć się mogłem«.

Stowarzyszenie garnęło do siebie wszystkich, co się odznaczali gorętszem uczuciem i wyższym umysłem. Napotykamy w niem niemal wszystkie wydatniejsze podówczas zdolności: Wincentego Pola, Bielowskiego, Siemieńskiego, Szajnochę, Zacharjasiewicza, Żegotę Paulego, Hipolita Witowskiego, Florjana Ziemiałkowskiego i wielu innych. Byli i poeci ruscy, pomiędzy niemi: Kasper Cięglewicz, Juljusz Horoszkiewicz i Kotkiewicz. Pieśni ludowe Cięglewicza, ziejące nienawiścią do jarzma, pojawiały się w »Noworoczniku Poznańskim«, ale jeszcze częściej przechodziły z ust do ust i stawały się własnością samego ludu. Stowarzyszeni z zapałem szerzyli oświatę, patrjotyzm i przekonania demokratyczne. W Bibljotece Ossolińskich, gdzie dyrektorem był Konstanty Słotwiński a kustoszem Komarnicki, drukowano i przedrukowywano rozmaite broszury demokratyczne. Pomiędzy młodzieżą zawrzało silne życie umysłowe. »Związek — powiada Józefczyk — zaczął być szkołą wielką, która zapał do nauk tworzyła«. Urządzano wykłady z historji polskiej, i Szajnocha ozłacał ją poetycką swą wyobraźnią. Z szczególnem jednak zamiłowaniem zwrócono się ku ludowi. »Młodzież — opowiada Wiesiołowski — jak pierwszą miłością do kochanki, tak rozgorzała tą pierwszą miłością do ludu. Kto nie podzielał jej zdania, czyto przez niechęć, czy z zimnej rozwagi, wydawał jej się wrogiem tego ukochanego ludu, wrogiem ojczyzny«. Po wsiach zakładano szkółki wiejskie, a najwięcej czynnemi były córki i żony właścicieli ziemskich. Wpływano na szlachtę, by ta obchodziła się łagodnie z włościanami i znosiła pańszczyznę. Niektórzy ulegali temu wpływowi, ale większość była oporną wszelkim zmianom, i młodzi wychodźcy, rozżarzywszy w sobie demokratyczne uczucia a widząc w szlachcie zatwardziałość w klasowych przekonaniach, zwrócili się — jak opowiada Bogdański — do chłopów, osobliwie w zachodniej części Galicji i w górach, i podniecali ich do formalnego buntu przeciwko szlachcie, przedstawiając im w perspektywie możność pozbycia się ich zwierzchnictwa, a z niem poddaństwa i pańszczyzny, choćby i gwałtem i możność owładnięcia pańskich gruntów«.

Stowarzyszenie wiele zawdzięczało gorliwości Hugona Wiśniowskiego i Adolfa Dawida. Wiesiołowski wspomina z uwielbieniem o Hugonie Wiśniowskim. Syn niższego urzędnika i matki Niemki, posiadał on kilka języków, był bardzo oczytany, ale nadewszystko znał dokładnie historję rewolucji francuskiej. »Była to djamentowa dusza — powiada Wiesiołowski — bo czysta i twarda jak djament«. Był on bardzo lubiany przez mieszczan i rzemieślników, pomiędzy którymi czynną prowadził propagandę. Dawid znowu rozwijał swoją działalność pomiędzy urzędnikami i księżami. Zjednano wówczas prawników: Teofila Wiśniowskiego i Franciszka Smolkę. Dawid nadto pośredniczył w stosunkach z politycznym związkiem węgierskim.

Kiedy w 1836 roku wojska austrjackie i rosyjskie zajęły Kraków i wyganiały stamtąd emigrantów, zbór naczelny przeniesiono do Lwowa. Widman wymienia następujące osoby jako należące do tego zboru: Seweryna Goszczyńskiego, Stanisława Malinowskiego, Stanisława Szczepanowskiego, Leona Zaleskiego, Franciszka Smolkę, Tomasza Rayskiego i Roberta Heferna. Podług Gillera zaś należeli do tego zboru: Goszczyński, Smolka, Rayski, Malinowski, Szczepanowski, którego on Janem nazywa, Marjan Podhorodeński zastępujący Konarskiego, Ignacy Kulczyński i Korycki.

Jednym z bardzo gorliwych i oddanych całą duszą sprawie był Kasper Cięglewicz, żołnierz artylerzysta z 1831 r., człowiek wielkich zdolności, silnego charakteru i przed niczem nie cofającej się odwagi. Przybywszy do Sambora jako urzędnik magistracki, wnet utworzył sołtysostwo, a pierwszym zjednanym członkiem był ośmnastoletni Michał Popiel, który okazał się bardzo czynnym w sprawie stowarzyszenia. Uwięziony przez policję i odwieziony do Lwowa, uciekł stamtąd i ukrywał się w Samborskiem pomiędzy włościanami i kowalami, sam uchodząc za kowala. Samborskie stowarzyszenie, znane pod nazwą Haliczanki miało po tarnowskiem, sandeckiem i jasielskiem najwięcej członków z niż-

szych warstw społecznych. Cięglewicz umiał trafiać do przekonania ludu i wielki nań wpływ wywierał. Prowadzili też czynną pomiędzy włościanami zwłaszcza góralami propagandę: Leon i Adolf Zaleski, Stanisław Szczepanowski, Stefan Skałkowski, Adolf Tetmajer, Stanisław Malinowski, ten ostatni nawet — jak powiada Józefczyk — szerzył związek terorystyczny, »Mazurskim albo Mazowieckim albo też Konferencją zwany. Wzbudził on niepokój pomiędzy członkami zborów, i wysłano w celu miarkowania Florjana Zalewskiego, ale ten sam przystąpił do związku »i udał się w góry pomiędzy chłopów, sposobiąc się do rychłego powstania«. Wogóle nigdy tak głęboko nie sięgała w Galicji praca demokratyczna jak w tym perjodzie. Widman, opierając się na świadectwach byłych członków tej organizacji, powiada: »Stowarzyszenie Ludu Polskiego ogarniało wszystkie warstwy społeczeństwa polskiego i ruskiego. Mieszczaństwo brało wprawdzie bardzo słaby udział, a lud wiejski zachowywał się biernie wobec propagandy ze strony Stowarzyszenia; jednakowoż w każdej z tych warstw miało już Stowarzyszenie swoich zwolenników i członków, co się żadnemu innemu spiskowi nie udało«. »Było to towarzystwo silnie rozgałęzione — powiada Józefczyk — organizacja wyborna, członkowie zdolni«,

Policja austrjacka najwcześniej wpadła na ślady roboty spiskowej. »Młoda Europa« nie tylko przedstawiała się Metternichowi jako zamach niebezpieczny na jego reakcyjną politykę, ale nadto groziła absolutyzmowi z trzech stron: ze strony »Młodych Włoch«, »Młodych Niemiec« i »Młodej Polski«. Gabinet więc wiedeński, poparty przez Rosję, Prusy i nawet Francją, zażądał wydalenia wszystkich wychodźców, którzy należeli do tego związku, z granic Szwajcarji. Z początku władze szwajcarskie udawały, że nic nie wiedzą o »Młodej Europie«, ale kiedy coraz gwałtowniej nalegano na rząd federalny i dostarczano mu w tym przedmiocie rozmaitych informacji, w 1836 roku zaczęto więzić, ścigać i wyganiać członków tego międzynarodowego stowarzyszenia. Młoda Polska już poprzednio przeniosła naczelną swą siedzibę do Brukseli, i 20. grudnia 1835 r. wybrano nowy stały komitet, do którego weszli: Joachim Lelewel, Karol Stolzman, Walenty Zwierkowski, Wincenty Nieszokoć, Walerjan Pietkiewicz, Andrzej Gawroński i Karol Królikowski. Byli to ludzie demokratycznych, postępowych przekonań, wszyscy zwolennicy zupełnego uobywatelenia włościan. Walenty Zwierkowski umieścił w tym czasie w Nowej Polsce obszerny artykuł o uwłaszczeniu włościan.

(C. d. n.)

Kilka uwag o „Życiu“.

(Dokończenie).

Grunt galicyjski jest tak zarosły chwastem i zielskiem, że pożyteczna roślinka z trudem tylko może na nim wegetować. Temu przypisać chyba należy owe nieśmiałe pojawienie się »Życia« na widok publiczny. Wydawcy sądzili może, że brzękiem komara zbudzą śpiących i porwą czuwających? Może był to tylko wallenrodyzm potrzebny, aby uratować »Życie« przed zdławieniem? Dość, że po tej niefortunnej próbie „niezrażania sobie nikogo“, uderzyło „Życie“ w ton bardziej męski, na co młodzież odpowiedziała poparciem moralnem i materjalnem.

»Życie« ma już za sobą rok istnienia; dla oceny przeto istnieje realna podstawa. Pominiemy numera, które się pojawiły w pierwszych kilku miesiącach. Są one poronione i znalazły już surową, ale zasłużoną ocenę w „Tygodniu“. Od tego jednak czasu znać stateczny rozwój. „Życie“ zdało sobie sprawę, że ma reprezentować kierunek demokratyczny, postępowy, a nie oglądać się wstecz; zrozumiało, że należy poddawać krytyce wszelkie szkodliwe objawy reakcyjnych dążności, jak również zło, płynące z zaniedbania obowiązków obywatelskich.

Można przytoczyć cały szereg artykułów na dowód, że krytycyzm względem ujemnych objawów społecznych i demokratyzm z radykalnem zacięciem znamionują „Życie“ w danej fazie jego rozwoju. Tak np. w artykule p. n. »Szkoła ludowa« uderza ono na bezczynność społeczeństwa naszego, „które żyje z dnia na dzień z apatycznym spokojem .. Młodzież, nawet ta młodzież, którą dawniej w zapale trzeba było hamować, ta młodzież dzisiaj starców oblewa zimnym tuszem refleksji, koncentrując cały swój patrjotyzm w okrzykach przy kieliszku“.

W Nr. 12 znajdujemy zasadniczy artykuł w sprawie „powszechnego głosowania“. W Nr. 13. spotykamy się ze słuszną oceną wiecu katolickiego w Krakowie i sposobu traktowania spraw społecznych i narodowych przez uczestników wiecu. Ta sama sprawa jest treścią artykułów p. n. »Niebezpieczeństwa grożące wiedzy i nauce“ (Nr. 15. 16, 17, 18). Protestuje słusznie w nich »Życie« przeciw utożsamianiu dwóch pojęć, nie mających ścisłego ze sobą związku, jakiemi są polskość i katolicyzm. Artykuł „W obronie pracy“ ujmuje się za tak wyzyskiwanymi pracownikami, jak mundanci adwokaccy, którzy całomiesięczną pracą zarabiają kwotę 12 złr.

Do najlepszych należą polityczne artykuły »Życia«. Taki np. artykuł „Po wyborach“ jest doskonale napisany i przynosi zaszczyt politycznemu wyrobieniu autora i redakcji.

Musimy również podnieść z uznaniem, że »Życie« baczną zwraca uwagę na stosunki czeskie, dając wyraz sympatjom, jakie polski naród żywi dla Młodoczechów wbrew twierdzeniom pp. pseudodemokratów, którzy służą polityce ucisku.

Wymieniliśmy kilka artykułów, aby stwierdzić fakt, że „Życie“ gorąco zajmuje się sprawami kraju. Jeśli jeszcze wspomnimy, że przy każdej sposobności zaznacza ono dobitnie swoje stanowisko narodowe, że prócz artykułów treści politycznej i polemicznej, nawołuje wytrwale do popierania przemysłu krajowego i walki ekonomicznej z napływowemi żywiołami — będziemy mieli obraz dodatniej czynności pisma.

Są to niewątpliwie dodatnie rezultaty dość znaczne. Tem niemniej „Życie“ nie odpowiada dotychczas w zupełności wymaganiom, jakim powinienby sprostać »organ młodzieży«. Są niestety, liczne błędy i braki. Zaznaczymy choćby jaskrawsze.

„Życie“ sprawami młodzieży tak jakby się nie zajmowało; z pisma trudno sobie wyrobić jasne pojęcie o ruchu towarzystw akademickich i związków młodzieży wogóle. Nadto „Życie“ zasklepiło się w ciasnym prowincjonalizmie; po za Galicję prawie nie sięga. Podobnież nie zwraca uwagi na stosunki, panujące między młodzieżą ruską, co jest już naturalnym wynikiem niedość określonego stanowiska, jakie „Życie“ zajęło wobec kwestji ruskiej i Rusinów.

Musimy wreszcie zrobić pismu ciężki zarzut, że sprawą ludu zbyt mało i dorywczo tylko się zajmuje. »Życie« zdaje się zapominać, że u nas po nad innemi sprawami góruje sprawa włościańska, sprawa klas pracujących. Tymczasem właśnie pierwszorzędnem zadaniem pisma demokratycznego — sformułować program pracy nad ludem i około tego programu skupić chętnych pracowników, tu miejsce do okazania swoich zdolności na polu pracy realnej. Włościanin, jego potrzeby i krzywdy, jego uświadomienie, oto przedmiot, który powinien być w piśmie roztrząsany i oświetlany wszechstronnie. Praca zresztą w tym kierunku jest dziś ułatwioną, bo nie trzeba mozolnie formułować programów: ruch ludowy obecnej doby ma już gotowy program, streszczający się w polityczno-społecznej emancypacji ludu. Pismo demokratyczne powinno bez zastrzeżeń taki program realizować, więc wzywać młodzież do działania w myśl jego. W dwu ostatnich Nr. „Życia“ widocznym jest zwrot dodatni w tym kierunku; znajdujemy tam bowiem artykuł „Nasz program pracy ludowej“, pisany widocznie piórem gorącego ludowca, który na serjo rzecz traktuje. Tym programem zajmiemy się później osobno. Możnaby uczynić pismu jeszcze nie jeden zarzut, tyczący się strony literackiej i technicznej artykułów, ale są to rzeczy mniejszej wagi, które przy ocenie społecznego znaczenia pisma śmiało pominąć możemy, tembardziej, że te usterki wynagradza „Życie“ śmiałością myśli, gorącem uczuciem i szczerością przekonań.

St. B.

CUWAKSY.

(Ciąg dalszy.)

— Tego nie można, mój chłopcze — rzekł kerkermajster.

— Ależ my się nie będziemy wykręcać — rzekł, ożywiając się Władek. — Myśmy się do wszystkiego przyznali już w policji i nie mamy się czego wykręcać, a my jeden bez drugiego być nie możemy.

— Dla czego nie możecie? — pytał zaciekawiony kerkermajster.

— Bo nie możemy — odrzekł poważnie Władek. — Od kiedy żyjemy, nigdyśmy się jeszcze nie rozstawali. Proszę pana nas nie rozłączać! My będziemy grzeczni!

— Jak nas rozłączą, to ja umrę, głowę o mur rozbiję — rzekł ze swego kąta Naczek spokojnym, aż do komiczności stanowczym głosem.

— Nie będziesz ty tam cicho, smarkaczu! — krzyknął klucznik. — Niech ich pan kerkermajster nie słucha. To łotry!

— Daj pan spokój, panie Trapiszewski — odrzekł kerkermajster. — To już moja rzecz, co z nimi zrobić. Dasz ich pan obu razem, ale gdzie?

— Kiedy obu razem, to możeby najlepiej było na 44?

— Gdzie? Na 44, do Semka Tumana?

— Tak jest, proszę pana kerkermajstra.

— Ależ to warjat. On może którego z nich skaleczyć lub zabić.

— Gdzie tam, proszę pana kerkermajstra! On ich tylko nauczy posłuszeństwa i pokory. Ten co wczoraj od niego dostał kiblem w łeb, nie chciał go posłuchać i nadto jeszcze kpił sobie z niego. A dla malców to będzie najlepiej, bo stary ich nie zepsuje.

Kerkermajster pomyślał chwilę, wreszcie rzekł:

— Niech i tak będzie! Prowadź ich pan na 44. Wprawdzie to kaźnia tylko na dwa łóżka, no, ale malcy mogą obaj spać na jednem. A że będą razem z Semkiem Tumanem, to może się to jeszcze na co przyda.

— No, hultaje! — rzekł klucznik do braci, gdy wyszli z kancelarji i plątając się w szerokich aresztanckich ubraniach szli schodami na

drugie piętro — czekajcie wy, teraz ja wam pokażę, jak się do mnie stawiać! Tu wam nie pan kerkermajster, tu ja pan! Ty urwipołciu! — harknął do Władka, pukając go kluczami w czoło. Ty mnie do oczu się rzucasz? Ach, ty nieboskie stworzenie! Ale będziecie wy się tam mieli, nie bójcie się! Poznacie wy, co to jest Semko Tuman. A ja pewnie nie będę taki głupi, żebym was miał brać do innej kaźni. Oho! Niech was i pozabija! Jeszcze jak posłyszę wasz pisk, to na drugi kurytarz ucieknę, żebym niczego nie słyszał. Ja wam nie pan kerkermajster, co się nad każdym machabundą lituje, jak nad rodzonym bratem! Ano, bierzcie sobie siennik, poduszkę, koc i prześcieradło, tu z tej kupy!

Na kurytarzu drugiego piętra leżały wielkie kupy rekwizytów: słomą napchanych aresztanckich sienników, takichże poduszek, niby czystych prześcieradeł i siwych, wełnianych koców. Chłopcy wzięli poduszkę, koc i prześcieradło, ale siennika mimo wszelkich usiłowań udźwignąć nie byli w stanie.

— To mi złodzieje! Nawet siennika sobie zanieść nie mogą! — gniewnie krzyknął klucznik i dość silnie uderzył jednego i drugiego pękiem kluczów po plecach. — No, marsz do kaźni!

I poszedł naprzód kurytarzem, zniknął w ciemnej framudze grubego muru, w której znajdowały się całkiem czarne, dębowe drzwi, okute dokoła i nakrzyż grubemi, żelaznemi sztabami, z małem okienkiem pośrodku, zabitem blachą z rzadka podziurawioną jak druszlak a prócz tego zamykanem z zewnątrz żelaznemi drzwiczkami, brzęknął masywną żelazną kłódką, odemknął następnie zamek u drzwi, i otwierając je wpuścił braci po jednemu do wnętrza, krzyknąwszy:

— Cuwaks! I jeszcze cuwaks!

I przy tych słowach nie zaniedbał jednemu i drugiemu dać znowu pękiem kluczów w plecy, i to tak dobitnie, że chłopcom aż łzy w oczach stanęły. Za aresztantami i klucznik wszedł do kaźni, zostawiając drzwi za sobą odchylone.

Kaźnia pod numerem 44 była jedną z lepszych w całym zakładzie. Już to jedno, że znajdowała się na drugiem piętrze, było korzystnem: była niższą, okno miała większe i dostępniejsze, a więc miała więcej światła i widoku, niż kaźnie na pierwszem piętrze, a zwłaszcza w parterze. Była to zresztą celka wcale małych rozmiarów, mająca zaledwie sześć kroków wzdłuż a cztery wszerz. Wzdłuż ścian po obu stronach okna stały dwa tapczany, jeden zaścielony, drugi zaś z gołych desek. W przeciwległych kątach, po obu stronach drzwi stały — w jednym kącie żelazny piec skuty w spojeniach żelaznymi obręczami, jak jaki nadzwyczaj ciężki zbrodniarz, a właściwie w tym celu, ażeby aresztanci nie mogli zdjąć wierzchniej części pieca czy to dla dobywania ognia do cygar, czy też w danym razie dla ucieczki — w drugim zaś kącie stało naczynie drewniane, zwane w aresztanckim żargonie »zośką«. Oto było całe umeblowanie kaźni.

Na zaścielonym tapczanie, twarzą ku oknu zwrócony, siedział człowiek ogromnego wzrostu, o długich, jak mleko białych włosach, spadających mu na potężne ramiona, i w zwykłem aresztanckiem ubraniu. Na kolanach miał lirę, na której oczywiście niedawno przygrywał, gdyż prawa ręka trzymała rękojeść korby, a lewa spoczywała na drewnianych klawiszach. Ale w chwili, gdy chłopcy przez otwarte drzwi kaźni weszli do wnętrza, w kaźni panowała zupełna cisza, a dalej zwolna zwróciła się ku nim żółta, niby martwa twarz, okolona białym włosem i taką samą, aż na piersi spadającą brodą. Pomarszczone czoło, blade bez krwi usta, a osobliwie całkiem białe, krwią podbiegłe ślepe oczy nadawały tej twarzy coś okropnego, tak że chłopcy na pierwszy widok tej postaci stanęli jak skamieniali.

— Macie tu dwóch cuwaksów, Semku — rzekł do niego klucznik. — Bądźcie nad nimi dobrym gospodarzem! Gdy was nie zechcą słuchać, to bijcie ile wlezie. Ja wam pozwalam.

I obracając się do braci, na odchodnem rzekł:

— No, miejcie się dobrze! A nie zapominajcie, że dziad Semko pięciu ludzi jednej nocy zamordował i że jest ślepy, a jak bije, to nie widzi, którędy bije. Spodziewam się, że i wam dogodzi.

To rzekłszy, wyszedł i drzwi za sobą zamknął naprzód na zamek, a potem jeszcze na kłódkę, wiszącą u drzwi na masywnym skoblu.

Ostatnia rekomendacja klucznika do reszty przeraziła i oniemiła chłopców. A więc jeszcze przed karą wepchnięto ich w towarzystwo takiego okropnego człowieka, pięciokrotnego mordercy, poddano ich nawet poniekąd pod jego władzę! Stali biedaki zupełnie oszołomieni, nie śmiejąc się ruszyć, nie śmiejąc spojrzeć po sobie, i jak zaklęci nie spuszczali oka z szerokiej, martwej, ku nim zwróconej, na nich ślepemi oczyma mrugającej twarzy strasznego dziada.

— Pójdźcie tutaj dzieci! — rzekł dziad głębokim, niby grobowym głosem.

Chłopcy nie śmieli nawet pomyśleć o sprzeciwieniu się i przystąpili ku niemu. Naraz dziad wyciągnął długą, kościstą rękę, chwycił nią Władka za głowę i przyciągnął ku sobie. Władek ze strachu aż wargi zagryzł, żeby nie krzyknąć, myśląc, że dziad zaraz na wstępie Bóg wie co z nim zamyśla zrobić. Ale dziad przyciągnąwszy go blisko, lewą ręką odłożył na bok lirę, a następnie zaczął obiema rękami obmacywać Władkowe włosy, czoło, twarz, plecy, nadzwyczaj starannie i systematycznie, jak biegły kupiec obmacuje bydlę, które zamierza kupić. Dalej na-

chylił się i obwąchał głowę chłopca, wciągając nosem zapach jego włosów, jak pies, który węchem śledzi trop zwierzyny,

— Jak się nazywasz? — pytał dziad.

— Władek Kalinowicz.

— Władek — Władek — Władek Kalinowicz — zwolna powtarzał dziad jak gdyby uczył się na pamięć tych słów.

— A ile masz lat?

— Dziewięć.

— A jakie masz włosy?

— Czarne.

— Czarne! A, tak i myślałem. I ja kiedyś miałem czarne włosy. To ładnie.

— No, a drugi gdzie jest?

I znowu wyciągnęła się długa ręka w próżną przestrzeń, dopóki nie namacała Naczka.

— To mój brat Naczek — rzekł wypuszczony i ośmielony nieco Władek, podczas gdy dziad z Naczkiem te same robił manipulacje, co i z nim poprzednio.

— Naczek — Naczek — Naczek Kalinowicz, czy tak?

— Tak — rzekł z cicha, nieśmiało Naczek.

— A ty ile masz lat?

— Także dziewięć. My bliźniaki.

— A włosy jakie masz?

— Blond.

— Aha, widzisz go! Blond! I to ładne. Moja żona miała blond włosy — ładna była. A za co was tu przywiedli?

— Chodziliśmy kraść kartofle — rzekł rezolutny Władek — aż tu gospodarz nas zaszedł z tyłu i schwycił obu w ręce.

— Obu! — żywo zawołał dziad. — A to jak?

— Nie mieliśmy którędy uciekać, więceśmy się oba rzucili na niego. Myśleliśmy, że jak razem na niego uderzymy, to może go powalimy na ziemię.

— A widzisz go! Co za chytre chłopaki! I kto by się spodziewał! — wołał dziad oczywiście zadowolony i jego ślepa twarz ożywiła się, zajaśniała wyrazem wewnętrznego życia. Chłopcy czuli się już daleko swobodniejszymi i mniej przygniecionymi jego obecnością, chociaż zawsze jeszcze stali nieruchomo naprzeciw niego, oparci o swój goły tapczan.

— Aha — rzekł Władek — gospodarz jucha widać, że się tego spodziewał, bo przycupnął, rozstawił ręce i złapał nas obu za kołnierz, nimeśmy mogli o niego uderzyć.

— Owa! — zawołał dziad z żywem współczuciem.

— Złapał nas — opowiadał dalej Władek — i jak nami oboma potelepał, tom myślał, że mi głowa z karku zleci, jak jabłko z gałęzi. O, myślę sobie, zdechł byś! I krzyczę Naczkowi: wal go łbem w bok! Tylko go Naczek łbem w bok grzmotnął, on lewą ręką uchwycił się za ziobro, a Naczek w nogi. A ja tymczasem nóż z kieszeni, jak go fałatnę w prawą — i mnie puścić musiał. I takeśmy uciekli, jeszcze i nakradzionej kukurydzy nabrali, bo już nie miał ochoty lecieć za nami. Dopiero nas w wieczór na ulicy zabrał policaj.

— Zuchy chłopaki — rzekł dziad. — Rezolutne chłopaki. I ja kiedyś takim byłem i dotychczas takich lubię. Nie bójcie się, będzie wam tu dobrze. Ja tylko mazgajów i płaksów nie lubię. Tych walę, czem się zdarzy. A wy się nie bójcie. A co wam ten pijaczysko klucznik o mnie mówił, to mu plujcie w oczy. Kłamie, jak pies. Nikogo nie zabiłem. Prawda, panowie mają na mnie podejrzenie, żem wymordował całą rodzinę żydowską i o to już dziesięć lat mię męczą. Dziesięć lat śledztwo ze mną prowadzą a niczego wyśledzić nie mogą. Po wszystkich sądach mię włóczą, setki świadków ściągają i niczego mi dowieść nie mogą. Oślepłem w śledztwie, posiwiałem w śledztwie i czuję, że w śledztwie umrę, a winy mi nie udowodnią.

Wszystko to wypowiedział głosem spokojnym, bez żadnego wzruszenia albo oburzenia, wparłszy swe białkami i krwią zaszłe oczy w pustą przestrzeń, jak gdyby z jakiej niewidzialnej książki czytał suchą notatkę o jakimś dawnym i całkiem obojętnym fakcie. Ale na chłopców to krótkie opowiadanie tem silniejsze wywarło wrażenie. Stali zapierając dech w sobie i wpatrując się w dziada, z całkiem już innem uczuciem, z nietajonem współczuciem i litością.

(Dok. n.) *I. Franko.*

Kto w mojem sercu?

Kto w mojem sercu?
Po co mię pytasz?
Jeśli w mej duszy
Dobrze nie czytasz,
To spojrz we wodę,
Spojrzyj w krynicę, —
A ujrzysz siebie!
Znasz tajemnicę?

S. B.

Przegląd pism.

(»Westoestliche Rundschau«. — Zeszyt I. — Styczeń. 1894.)

Nowy rok przyniósł sporo nowych czasopism. Jedno z nich, niemiecki dwutygodnik „Przegląd zachodnio-wschodni“ mamy właśnie przed sobą. Wydawcą i odpowiedzialnym redaktorem jest dr. Karol Siegen w Lipsku. Pismo, jak zapowiada słowo wstępne, ma na celu ochronę interesów trójprzymierza; jest to atoli etykieta, obliczona na pozyskanie sobie poparcia „prawdziwych patrjotów“. W słowie wstępnem znajdujemy wprawdzie pewne aluzje polityczne w rodzaju upragnionego pokoju, dla którego ochrony państwa sprzymierzone zbroić się nie przestają, znajdujemy kilka wyrazów piorunujących na nieszczęsny burzycielski system śp. hr. Taffego; sporo kadzideł, palonych na cześć skoalizowanych stronnictw, pomiędzy którymi Polacy, »jedyny cywilizowany naród słowiański w Austro-Węgrzech« niemal decydujące, zdaniem redakcji, zajmują miejsce; mamy wreszcie sporo ognistych wykrzykników na »półoświeconych Czechów«; barbarzyństwo Rosji, mamy wreszcie wyrazy litości dla zbłąkanej Francji itd. Treść zeszytu atoli nosi charakter czysto literacki.

Mamy tu dwie dobre nowele (»Orest« przez Konrada Telmana i »Cztery listy« p. Matyldę Serao), mam kilka nie wiele mówiących wierszy poety niemieckiego Ottona Roquette, oraz przekład trzech bardzo pięknych króciutkich poemacików Mariusza Rapisardiego p. t. »Mors et Vita«. Senator Gaetano Negri z Medjolanu podaje zajmujące streszczenie książki swego ziomka, Pasoliniego, traktującej o jednej z najciekawszych postaci odrodzenia, mianowicie o Katarzynie Sforza, kobiecie niezwykłej energji i wielkiego ducha, choć okrutnej i zbrodniczej, jak w ogóle wszystkie potężniejsze umysły owej epoki, w której duch helleński zakwitnął na nowo na ziemi włoskiej.

Bardzo bogaty jest dział sprawozdawczy, dający krytyczny przegląd nowości z rynku wydawniczego.

Na koniec pozostawiliśmy trzy rzeczy, posiadające charakter polityczny i społeczny: 1) Rosprawa prof. Vamberyego, p. t. »Europeizacja Turcji, wzywa skoalizowane rządy do otoczenia opieką Turcji, potrzebującej jakich pięciu dziesiątek lat spokoju, ażeby pod względem cywilizacyjnym stanąć na równi z innemi krajami Europy; 2) artykuł p. t. »Azja Mniejsza, widziana z lotu ptaka«, pióra majora Wasche, wykazuje niebezpieczeństwo, jakie groziłoby Europie, gdyby Rosja zajęła Anatolję. Przez zajęcie tego kraju otwarłaby sobie Rosja drogę do Kanału suezkiego itd., zawładnęłaby morzem śródziemnem i zalałaby falą kozacką całą Europę; 3) „Czy społeczeństwo jest chore?“ kilka słów prof. Gumplowicza w odpowiedzi rozmaitym znachorom społecznym.

Prof. Gumplowicz wyraża przekonanie, że ludzie, bający o chorobie społeczeństwa, nie zdają sobie sprawy z pojęcia „społeczeństwa“. W danym wypadku nie można mówić o chorobie całej ludzkości, bo ludzkości całej absolutnie nie znamy. Nie wiemy, ani jak dawną jest ludzkość, jaka jest jej liczebność, ani jak się rozwijała w ubiegłych perjodach, licząc je nie na lat tysiące, ale na dziesiątki tysięcy. Nie można też, mówiąc o chorobie społeczeństwa, mieć na myśli jakiegoś odłamu ludzkości, jakiejś części swiata, np. Europy, gdyż w takim razie musianoby inne części świata, jak np. Afrykę, Australję lub Amerykę, gdzie panuje najstraszliwsza polityka niszczenia tubylców, nazwać w przeciwieństwie do Europy zdrowemi.

Ostatecznie przychodzi prof. Gumplowicz do tej konkluzji, że skargi na chorobę społeczeństwa są tylko wynikiem niezadowolenia pewnych klas, pewnych grup, lub wreszcie pewnych jednostek. Ale to niezadowolenie jest właśnie dowodem, że społeczeństwo jest zdrowem. Istotnym żywiołem każdego społeczeństwa jest walka klas, bez której nie może być ustroju państwowego; w żadnym też ustroju państwowym nie ma człowieka, nie wyjmując monarchów, któregoby nic nie gniotło i któryby wskutek tego nie narzekał na „chorobę społeczeństwa“. To niezadowolenie jest dowodem, że ustrój dobrze funkcjonuje: jeżeli agrarjusz skarży się, że czasy są niemożliwe, ponieważ chłop niechce pracować i żąda zbyt wygórowanej płacy, jest to dowodem, że poczucie prawne w masach się wzmaga i że wskutek tego ustrój państwowy zbliża się do swego ideału; jeżeli wielcy przemysłowcy skarżą się, że robotnicy domagają się wyższych płac a skrócenia dnia roboczego, to jest to dowodem, że lud robotniczy nabiera poczucia swej siły i prawa itd.

Przyczyną narzekań na chorobę społeczeństwa jest poprostu brak znajomości istoty społeczeństwa; gdy ta nastąpi, znikną wówczas nieuzasadnione skargi na chorobę społeczeństwa, a z nimi także niepowołani znachorzy. Walka klas trwać nie przestanie, bo inaczej społeczeństwo nie będzie nadal funkcjonowało. Walka ta atoli powinna się odbywać w granicach prawnych. Dopóki tak się dziać będzie, stan społeczeństwa będzie normalny.

Prof. Gumplowicz zapowiada dalszy szereg listów, mających na celu wyświetlenie istoty społeczeństwa.

Jan K

Z drukarni Z. Golloba we Lwowie.